Rozmaitości

Dnia 2. Kwietnia **Nr 14.** 1836 Roku.

PODOLANKA.

POWIEŚĆ Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA.

Oj diwczyno iz Podola,
Neszczastływaż twoja dola!
Z pieśni gminnéj.

Miłość jest nieprzebranem morzem dla poetów, dla romanso-pisarzy, z którego czerpią albo natchnienie, albo przedmioty do pisania. Z owegoto morza i ja treść wziąłem do ułożenia téj sielskiéj powiastki. A że jéj bohatérką jest tylko uboga wieśniaczka, co może przez całe życie swoje nie wyjrzała za granicę rodzinnéj wioski, któréj jedyném zatrudnieniem było pomagać starym rodzicom w ich mozolnéj pracy, co nie umiała innego języka, prócz ojczystego ruskiego, to téż ograniczę się na prostém, prostego zdarzenia opowiadaniu.

W pięknéj podolskiéj krainie jest wieś obszérna; pełno tam sadów, śród których porozrzucane chatki włościan. Prawdziwy miłośnik przyrody chętnieby zamieszkał w tém miejscu, choć nie było w niém uderzających romantycznością widoków. Środkiem wsi bieży nie wielki strumyk; po obu jego stronach, na wzdłuż ciągnących się wzgórzach, wyglądają białe domki, a nad niémi błękitny dym pływa. Daléj szumi młyn, a za groblą staw duży, czysty, w końcu tylko gęstą porosły trzciną; o parę set kroków od stawu widać okazały dom dziedzica, przy nim ogród z angielskiemi klombami, i ulicami wysypanémi piaskiem; w środku wznosi się altanka z czerwonym daszkiem. Za stawem na pagórku stoi cerkiew, o trzech kopułach. Za wsią na około bogate łany, daléj lasy, daléj tylko niebo — otoż i cały krajobraz.

Tam żyła Handzia, siedmnastoletnie dziewczę, z dużémi czarnémi oczyma, w których ognista przebijała się dusza, z ciemnémi, jak noc, włosyma, co radeby igrały z gładką jéj szyją, gdyby ich nie splatała piękna dziewczynka codzień w warkocz, nie związywała pąsową wstążeczką, i nie owijała około głowy; tak ujętym w więzy, sroga dziewczyna starała się osłodzić niewolę, zdobiąc je skromnym kwieciem, bławatkami, makiem i nasturcyją. Lica Handzi, lubo nieco dotknięte skwarem słońca, wzbudziłyby zawiść w nie jednéj miękkiéj piękności, troskliwszéj o białość twarzyczki, niż o serca umysłu, ukształcenie; malowały się na nich zdrowie i wesołość — a kiedy zaśmiała się, z pomiędzy ust jéj koralowych błyskały dwa sznurki śnieżnych zębów. Kibić jéj nie nader wyniosła, lecz gibka; a chłopcy powiadali o niéj, że była jak wytoczona.

Rok siedmnasty ubiegał Handzi w błogiéj swobodzie. Nie znała nikogo prócz rodziców swoich, i niewinnych igraszek z wiejską drużyną. Nie wiedziała, że za krańcami jéj wioski jest jeszcze świat inny, że jeszcze są wsie, miasta, kraje — a choćby i wiedziała o tém, to nie myślała o reszcie świata, tak jéj błogo było w rodzinnéj chatce.

W niedzielę bywało, kiedy ustroiła się w świeżą bieliznę; kiedy chłopcy śmiejącémi oczyma poglądali na nią, i szeptali do siebie o jéj urodzie; ojciec i matka z dumą patrzyli na swoje pieścidełko, a skromna dziewczyna oblewała się rumieńcem, i tuliła się do matki.

Od lat dwóch zachodzili już do niéj swatowie, trafiali się dostatni gospodarze — lecz dziewczyna, jak ta lilija, która nad strumieniem rośnie, która cieszy się słońcem, rosą i spiewem ptaków, i wcale nie tęskni, aby ją zerwano do oblubieńczego wieńca — cieszyła się swoją wiosną i nie tęskniła za wieńcem.

Serce Handzi, od młodości rozbudzone ukraińskiemi dumkami, lubiło niekiedy zatapiać się w tęsknocie; podczas wieczorów wiosennych, kiedy cała wieś ucichła, kiedy młyn niespokojny w oddali szumiał, a gdzieś na łące odzywała się sopiłka pastuszka, nieznana w dziewczynie obudzała się trwoga; jakieś głębokie, tajemnicze uczucie, marzenia o jakicheś królewnach, o których w bajkach słyszała, złote sny majowe, szczęście, którego pojąć nie mogła; wszystkoto czarowało jéj duszę, i najczęściéj łzami się kończyło.

Tym sposobem śród pracy, dumań, rozrywek wiejskich, upływała jéj wiosna; wkrótce jednak zmieniły się rzeczy. Pewnego ranka stała Handzia w ogródku i wyrywała kwiaty, i zdobiła się niemi. W tém usłyszała rzenie i tętent konia: podniosła oczy na drogę, i postrzegła jadącego urodziwego młodzieńca. Pięknéj on był postawy, z jasnémi włosyma, niebieskiém okiem, przyjemnego oblicza; spoziérał ciekawie na dziéwczynę, głaskał po szyi konia i dawał mu ostrogę, jakby chciał jéj oczy zwrócić na siebie. Miłyto widok dla dziéwczęcia! Długo patrzała za odjeżdzającym, który, popuściwszy wodze, jak ptak poleciał i wpadł na dworski dziedziniec.

Handzia tego dnia kilka razy myśliła o nieznajomym młodzieńcu, a gdy udała się na spoczynek, nim zasnęła, jeszcze raz przyszedł jéj na myśl szykowny jezdziec. I nazajutrz, skoro otworzyła oczy, przypomniała sobie znowu ładnego panicza, i często wychodziła, aby spojrzéć na biały dwór pański. Widziała tam, jak po obszérnym zielonym dziedzińcu przechadzali się, to pan w letnim żupanie, to pani w porannym stroju, to gawiedź dworska; ale panicza jasno-włosego nie było widać! zadziwiona wróciła do zwykłych zatrudnień i przestała o tém myślić.

W kilka dni potém, będąc we dworze, dowiedziała się, że ten nieznajomy był krewnym państwa, że niedawno wyszedł ze szkół, że ma nie zadługo przyjechać tu znowu, i że jakiś czas zabawi. Oto są szczegóły, które jéj obojętnie opowiadano, jednak dziewczyna ciekawie ich słuchała, i powróciwszy do domu powtórzyła to wszystko rodzicom, którzy na wzajem obojętnie jéj powieści słuchali.

Minęła wiosna, a z nią i kwiaty z drzew obleciały, i kukułka przestała wabić po gajach, i słowik przestał spiéwać, jak gdyby go nigdy nie było. Ale zato czerwieniły się sady od jagód, szérokie pole, jak złote morze, kołysało się dojrzałym kłosem, a nad niém niezmordowany skowrónek, ten słowik jesieni, wzbijał się w obłoki i zachęcał swoje młode do lotu; myślałbyś, że chce im drogę do nieba wskazywać.

Zachwycającyżto widok patrzéć gdy matka ziemia rozsypie skarby swoje pod nogi człowieka! Ty, coś przepędził całe życie śród wrzawy miasta, połykając duszącą kurzawę, wymkniéj się choć raz na wieś w piękny letni poranek, a jeżeli cię nie zachwycą tysiącznémi barwami ucieniowane łany, jeźli niebo pogodne, spuszczające chłodną, rzeźwiącą rosę nie natchnie cię świéżémi, czystémi, jak ona uczuciami, jeżeli ucha nie dasz tysiącznym głosom mówiącéj przyrody, jeźli jéj nie zrozumiész, i odepchniesz ją od siebie... wracaj do miasta! zepsute masz serce, i duszę gnijącą, która odbiegła od swojego źródła! Letnia pora na wsi, najwięcéj też życia przedstawia, i praca też wtenczas największa. Byłoto wieczorem: wesoła gromada wracała z pola, gwarząc, spiéwając, na czele ich szła Handzia, uzbrojona sierpem, strojna w wieniec, jak królowa jaka; bo też ją królową wioski nazywano. Gromada poszła do dworu. Państwo odebrali od Handzi wianek i wynagrodzili ją hojnie. Ekonom z właściwą urzędowi swemu powagą ustawiał, porządkował włościan; osobno stanęły kobiéty, osobno mężczyźni. Kubki, pieniące się to piwem to gorzałką, krążyły pomiędzy biesiadującymi. Spełniali je żwawo i młodzi i starsi, niewiasty tylko i dzieci piły wstydliwie, zasłaniając się białym fartuszkiem. W tém ozwała się muzyka: puściła się w taniec niezmordowana całodzienną pracą młodzież, i więcéj tam było szczéréj, niezmyślonéj ochoty, niż na balu najświetniéjszym, gdzie płoną jarzące świéce, ślnią się źwierciadłem ściany i brzmi wyborna orkiestra.

Handzia nie poszła do tańca; ze spuszczonémi oczyma stała obok państwa, którzy łaskawie z nią rozmawiali. Czemuż tak nieśmiało odpowiada? Czemu w niéj tak gwałtownie bije się serce? Miałażbyto sprawić obecność jasno-włosego młodzieńca, co stał tuż koło niéj, mówił z nią, i z upodobaniem

się wpatrywał? Dziedziczka prosiła młodzieńca, aby z Handzią poszedł w taniec, i Maurycemu nie potrzeba było drugi raz to samo powtórzyć; i Handzia, lubo drżąca, lubo byłaby rada uciec gdzieś w najskrytszy kątek, przecież nie uciekła, przecież dozwoliła młodzieńcowi, że ją w pół ujął, i piękna para poskoczyła do wesołéj szumki.

To wzajemne objęcie się, ten taniec, wywarły wpływ nieszczęśliwy na cały los dziewczyny. Po skończonym tańcu przybiegła do matki i rzuciła się jéj na łono, a matka obcierała rańtuchem spoconą twarz Handzi, w któréj sercu już dziwne rozbudzały się uczucia. Rówiennice, uśmiechając się złośliwie i szepcąc pomiędzy sobą, zazdrościły jéj tego szczęścia; a chłopcy patrzali na nią z ukosa, że po tańcu z paniczem nikogo już wybrać nie chciała. Oddaliwszy się na bok od tańcującego koła, stała obok matki, i myśli jakieś tęskne, nieodgadnięte, zasępiły jéj czoło. Smutnie poglądała to na urocze niebios sklepienie, zaiskrzone drżącémi gwiazdami, to w tę stronę, gdzie stali państwo, a między niemi Maurycy, i westchnęła ciężko — biédna dziéwczyna!

Ze świetnych balów pańskich często dopiéro wschodzące słońce rozprasza biesiadników, a owe czarujące piękności, które przy rozpoczęciu balu były tak świéże, tak woniejące, tak podziwiane — okrywają nakońcu wybladłe swoje lica i w nieładzie rozrzucone włosy, szalami, płaszczami, i unoszą resztę uroku z przed oczów rozromansowanéj młodzieży. Jakże inaczéj odbywają się zabawy wiejskie pomiędzy prostym ludem. Noc letnia ledwie w połowie ubiegła, jeszcze na wschodzie nie wyjaśniało się niebo poranku brzaskiem, kiedy ucichła muzyka, i wieśniacy zaczęli rozchodzić się do domów. Dziéwczęta rozgrzane tańcem, z sercami uweselonémi muzyką, stają się coraz piękniéjsze, ognistsze, wymowniéjsze. Jasne gwiazdy uśmiechają się im z góry; ciepły, cichy wietrzyk igra z ich włosami, harmonijująca przyroda zdaje się spólnie z niémi weselić, gdy echa dalekie powtarzają pieśni obżynkowe, gdy im przegrywa tajemnicza muzyka wieczoru; ale starszyzna powraca do swoich zagród, młodzież rada nie rada idzie za ich przykładem, kończąc swoje śpiewy i tańce po drodze, prowadzącéj środkiem sioła.

Nade dniem ucichło wszystko w całém siele; młyn tylko szumiał; kiedy niekiedy psy odzywały się szczekaniem. Do każdéj chatki zajrzał sen dobroczynny, aby utrudzonych wieśniaków pokrzepić siłami do jutrzejszéj pracy. Handzia może jedna miała sen niespokojny, ona, co zwykle sypia jak dziécię, co we śnie igra z aniołkami, budziła się często, marzyła o Maurycym, o jego oczach błękitnych, jasnych włosach, o jego siwym rumaku. Sni się jéj, że z nią tańczy, że ją ścisnął za rękę, i mówi do niéj słowa tak mile w ucho wpadające, jakich nigdy nie słyszała. Przechadza się z nim po nieznanéj krainie. Oczom jéj przedstawia się tysiące zjawisk pięknych, dziwnych; zdumiewa się, on jéj te dziwy tłumaczy, ona go słucha, a serce jéj lgnie do téj mowy. Potém weszli na jakiś wzgórek, jéj było gorąco, duszno; ona cierpiała, a on stał spokojnie i uśmiéchał się. Potém się rozłączyli, młodzieniec gdzieś zniknął... próżno go woła... płacze. Stoi na samotnym wzgórku, tam ją słońce pali, chciałaby zbiédz na dół, ale nie może, siły ją odbiegły, leci gdzieś w przepaść — już ma się rozbić o głazy — o cudzie! Handzia zmienia się w jasną, lekką gwiazdkę, i wzbija się jak ptaszek do góry... do góry aż do nieba, i... w tém obudziła się, krople zimnego potu czoło jéj oblały. Otworzyła oczy; dzień wielki już świtał w okienku. Ojciec i matka krzątają się, w piecu z trzaskiem pali się ogień, przy nim stoją garnki, przed progiem rozciąga się wierny kondel; na środku świetlicy kot biały z żółtémi centkami umywa się — widać, że gość jakiś będzie.

Wstała i Handzia; rodzice ją uściskali. Matka osobliwie pieściła się z nią, nazywając ją swoim skarbem, swojém szczęściem. I w rzeczy samej byłoto szczęście dla rodziców miéć taką córkę.

Wieczorem, skończywszy zatrudnienia około nabiału, luba dziewczyna stała na podwórzu, zatopiona w myślach przypatrywała się jaskółkom, co odlatywały i przylatywały do gniazd tuż pod strzéchą przylepionych. Naliczyła ich kilka i cieszyła się, bo słyszała, że tam szczęście przebywa, gdzie jaskółki i bociany się gnieżdżą. Myśląc o szczęściu rzuciła okiem na dwór pański; wspomniała sobie wieczór wczorajszy, taniec z paniczem i sen dziwny. Tak pogrążona w dumaniu weszła do chatki,

aby pogadać z rodzicami, rozweselić się. W tém pies zaszczekał: wyjrzała przez okno. Jasno-włosy panicz w zielonym myśliwskim stroju, ze strzelbą na plecach, wszedł na dziedziniec, a za nim ciągnął się wyżeł skulony, najeżony, bo ogromny kondel szedł przeciw niemu śmiało, i warczał i chciał się nań rzucić. Wyszli z chaty na przeciw paniczowi rodzice i uprzejmie go powitali. I Handzia nie została w chacie, wybiegła także, ale zmieszana, ale zapłoniona dziewiczym rumieńcem. Panicz powiedziawszy, że wraca z polowania utrudzony, prosił o wodę. Handzia poskoczyła do krynicy, nabrała świeżéj wody i przepraszała go, że nié ma szklanki. Lecz on z wdzięczną podzięką, ujawszy dzbanek, poniósł go do ust i patrzał mile na Handzię, a zaspokoiwszy pragnienie, zapewniał ją, iż nigdy tak smacznéj wody nie pił. Pomówił kilka słów z rodzicami, kilka z Handzią i pożegnawszy się z nimi, odszedł. Tak się odbyły piérwsze odwiedziny.

Długo rodzice rozmawiali o paniczu, chwaląc go z grzeczności, z urody i rozumu, a Handzia z jakąż rozkoszą tych pochwał słuchała! I nazajutrz była mowa w chatce wieśniaków o Maurycym. Niebaczni rodzice nie wiedzieli, że tym sposobem rozniecali pożar, który się już zakradł w serce dziewczyny.

Przyszło do tego, że Maurycy często odwiédzał chatę poczciwych wieśniaków. Z rodzicami rozmawiał o gospodarstwie, tak rozsądnie, tak trafnie do ich pojęcia, że aż miło było go słuchać. Przytém do starych mówił zawsze z uszanowaniem, jego ojcem, ją matką nazywając, aż serca biédnych ludzi rosły z radości na tyle dowodów uprzejmości od bogatego panicza. Handzia oswoiła się; była z nim bez przymusu. Maurycy był poetą; znał on piękności poezyi gminu, i umiał z Handzią tym językiem prostym, przemawiającym do duszy rozmawiać; nie raz musiała mu spiéwać stare dumy o hetmanach kozackich: o Chmielnickim, o Niczaju, z których on potém piękne poezyje dla świata książkowego przerabiał; on znowu ze swojéj strony podnosił to serce niezepsute i czyste ku wyższym uczuciom i wyobrażeniom. Niebezpieczna to jednak nauka, którą przystojny młodzieniec pięknéj dziewczynie wykłada! Zwykle wtenczas albo nauczyciel, albo uczenica pożegna się z pokojem serca, albo oboje razem... Handzia zakochała się w Maurycym, zakochała się z całą mocą piérwszéj miłości! — A on? on nie podzielał jéj uczuć, lubo dostrzegł skłonność jéj ku sobie. Lubił ją, pochlebiało mu, że zajął to serce pełne prostoty, pełne ognia... Może też jako autor chciał doświadczyć na niewinnéj duszy wszystkich postępów miłości, ażeby potém ofiarę swojéj próby zrobić heroiną jakiego romansu? Może psychologicznym badaniom poświęcił miłość bez granic, miłość ślepą, o jaką tak trudno w zepsutym świecie? Nie wiém. Ale oziębłości Maurycego trudno znaleźć przyczynę: serce miał wolne, myśl swobodną, i zamiast duszę swoję połączyć z wonią tego rzadkiego kwiatu, on się nim tylko bawił, i listki obrywał. Z tém wszystkiém Maurycy często ją nawiédzał, bo nudził się we wsi, we dworze, gdzie same podeszłe żyły osoby. Maurycy lubił z nią rozmowy, bo kogoż prostota, kogoż niewinność nie przywiążą?

Nie długo jednak i to trwało. Raz wieczorem przyszedł on, podług zwyczaju pogadał ze staruszkami, pobawił się z Handzią, i najczuléj wtedy przemawiał do niéj, najtkliwiéj na nią patrzył; w obec rodziców obsypał ją pocałunkami, a poczciwi wieśniacy z uśmiéchem na to poglądali; może w tém nic złego nie widzieli; może w prostocie serca myśleli, że bogaty panicz poślubi kiedy ich córkę? albo nie bywały podobne zdarzenia? wszakże o takich wypadkach mówiły ich powieści, ich piosneczki gminne. — Tymczasem Maurycy począł się żegnać, i smutnie powiedział, że jutro rano na długo odjeżdża do Warszawy. Zbladła biédna dziewczyna; nie wiedziała ona, gdzie jest Warszawa, ale wyobrażała sobie, że gdzieś bardzo daleko, że gdzieś za morzem, na końcu świata. Więc rzewnémi zalała się łzami, i jęła prosić panicza, aby nie narażał się na niebezpieczeństwa, aby o niéj pamiętał, aby do nich powrócił. I rodzice czule się z nim żegnali, błogosławili go jak syna, życzyli pomyślnéj drogi, szczęśliwego powrotu. Maurycy czuł jakąś w głębi boleść, gdy się z Handzią rozstawał — może to przyzwyczajenie tylko, może litość nad sercem, które osierocał. Raz jeszcze powtórzył pożegnanie i wybiegł szybko z chaty

— wzruszony, chciał ukryć łzy, które gwałtem z powiek się cisnęły — uciekał, bo się takiéj czułości wstydził!

Całą noc Handzia uspokoić się nie mogła; całą noc nie spała, i skoro dzień błysnął wybiegła na podwórze. Wlepiła czarne spłakane oczy w biały dwór pański. Jakiż tam smutny dla niéj widok! przed gankiem stał powóz wypakowany, uwijają się słudzy, już wyprowadzają konie, już zakładają do powozu, a Handzia stoi nieruchoma, jak posąg kamienny, i pogląda na te przygotowania do odjazdu.

Nagle przychodzi jéj nowa myśl, chciałaby jeszcze raz przypatrzyć się z blizka swemu ukochanemu paniczowi, tak zwykle bowiem nazywała go, mówiąc o nim. Wbiega do chaty, porywa dzbanek, i biegnie po wodę do źródła, ktore aż za groblą wytryskało, tamtędy miał przejeżdzać Maurycy. Dziwiły się sąsiadki, widząc Handzię, idącą po wodę tak daleko, kiedy tuż przed swą chatą miała żywą krynicę.

Nad źródłem na kamieniu siedzi niespokojna dziewczyna, przy niéj stoi dzbanek, napełniony wodą, a oczy jéj błądzą po gościńcu, idącym ode dworu. Ozwał się trzask bicza, turkot powozu; cztéry dziarskie konie parskają w rączym biegu, serce u biédnéj dziewczyny coraz mocniéj bije, łzy się do oczu cisną — powóz coraz się zbliża, już jest koło niéj — już ją ominął!... Maurycy, który siedział obok jakiegoś poważnego pana, obaczył Handzię, pożegnał ją lekkiém uchyleniem głowy... Nie takiego ona spodziéwała się pożegnania!... Dziewczyna upadła na ziemię bez zmysłów, jakby dziécię lękliwe na widok stracha w ciemnéj komorze.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała się na swojém łóżku, sama nie wiedziała, co się z nią dzieje; ojciec i matka stali przy niéj zapłakani. Uczuła zimno przenikliwe, odzież jéj całkiem wodą była zmoczoną. Na środku chaty stało kilku dobrych sąsiadów i sąsiadek, którzy ją pół-martwą przynieśli. Jakaż była radość rodziców, kiedy postrzegli, że Handzia żyje; jakże czułémi obsypywali ją pieszczotami! Ona chciała im odpowiedzieć słowami wdzięczności, ale nie mogła! Coś tak, jak kamień ciężyło jéj na sercu: uśmiéchała się, ale smutno było patrzeć na ten uśmiéch! mówiła z rodzicami — o czémże? o paniczu. Oni ją pocieszali, że nie za długo powróci.

Tegoż samego dnia wstała Handzia z łóżka; zdawało się, że spokojna; wzięła się nawet do pracy, lecz jakże jéj wszystko szło nie władl Tęskne jéj myśli biegły gdzieś do Warszawy, do którćj ona sama drogi nie wiedziała. Kilka dni upłynęło, Handzia ciągle była smutną, zamyśloną, nie narzekała jednak, często modliła się, szukała w Bogu pociechy... Dziwnato rzecz, jak w krótkim czasie zgasnąć może świéżość i rumieniec dziewicy! Handzia przed kilku dniami rumiana jak zorza, z oczkami żywémi, jak dwie gwiazdy, a teraz posępnie blada, ze mgłą na owych dwóch gwiazdach.

Nadeszła niedziela; stroskany ojciec, wziąwszy z sobą kilka złotych, które chował na podatki, poszedł o parę mil do miasta, aby dziecięciu swemu kupić jaki gościniec, myśląc, że tém ją niebogę pocieszy. Wrócił późnym wieczorem, przyniósł parę kulczyków, pierścionek, i wstążek różnego koloru. Handzia, coby dawniéj, odebrawszy taki podarunek, z radości pojąć się nie mogła, teraz obojętnie pogląda na te ozdoby dziewicze. Mile jednak podziękowała ojcu i schowała do skrzyni i kulczyki i pierścionek i wstążki. Bóg wié, czy się w nie kiedy ustroi! Jeżeli co mogło ją pocieszyć, to tylko rozmowa o paniczu, a rodzice właśnie wystrzegali się go wspomniéć, mniemali, że nie mówiąc o nim, prędzéj zapomni. Jakże nie znali uczuć swego dziecięcia!

Pewnego dnia w smutnych zatopiona myślach siedziała Handzia na przyźbie. Słyszy tętent konia; podnosi oczy, i wykrzyknęła z radości, z zadziwienia. Ten sam koń siwy! poskoczyła do wrót: przypatruje się... bliżéj, coraz bliżéj nadjeżdza. Ach! co za bolesne złudzenie! nie ten sam jeździec. Ledwie mogła ustać, nogi pod nią drzały, w oczach ciemno się zrobiło... dziewczyna błędnym krokiem zawlekła się do chaty i położyła się... W nocy mocno zachorowała. Mówiła wiele, prędzéj niż zwyczajnie, ale bez związku. Najwięcéj rozpowiadała o paniczu, śmiała się głośno. Starzy rodzice całą noc spędzili koło niéj. Z jakąż niespokojnością wyglądali poranku!

Przecież błysnęło słońce i oświéciło łoże choréj. Żałośnéżto było widowisko! Dwoje ludzi podeszłych w latach, zmęczonych nocném czuwaniem, siedziało przy łóżku młodziuchnéj, cierpiącéj córki, wpatrując się na nią z troskliwą obawą. Ucieszyli się nieco,

bo na twarzy choréj wytrysnał prześliczny rumieniec. Oczy jéj ożywiły się blaskiem, jakim od dawna już nie świéciły. Cieszyli się biédni ludzie, nie wiedząc o tém, że ten rumieniec, ta ócz żywość, byłyto zgubne znamiona grożące śmiercią. Gorączka się zwiększyła, chora nie przestawała mówić szybko, głośno, bez myśli, bez ładu.

Tymczasem pani, dowiedziwszy się o chorobie Handzi, przyszła ją z litości nawiédzić, lecz chora nie poznała ją. Pani rozumiejąca się na słabości, dotknęła się pulsu dziewczyny: jakżeż prędko bije! Przyłożyła dłoń do jéj policzków, do czoła, jak ogień rozpalone. Posłano do miasta za lekarzem. Tymczasem dziewczyna o dziwnych marzy rzeczach. Pani się dziwi: słysząc ją ciągle powtarzającą o Warszawie, o jéj miłości, dla jakiegoś jasno-włosego młodzieńca. Dziewczyna zrywa się z pościeli, wybiega z chaty, odzież jéj w nieładzie, włosy na wiatr rozpuszczone; chce uciekać: dokąd? do Warszawy!... Pani nie może sobie wytłumaczyć, zkąd téj prostéj dziewczynie ciągle Warszawa na myśli. Nie pojmowała całéj tajemnicy, nie wiedziała, że miłość do grobu ją prowadzi. Rodzice ukrywali przed panią, jakby zbrodnię jaką, że córka ich śmiała podnieść swe serce, aż do panicza z wysokiego domu... Przyjechał w końcu i lekarz, nie szczędził wszystkich środków, aby gorączkę odwrócić, i gorączka cokolwiek ustała; chora była spokojniéjszą! ale na rany wewnętrzne, które za każdém wspomnieniem krwią jéj zabiegały, nie znał ów mądry lekarz żadnego środka. Biédni rodzice pojmowali dobrze stan nieszczęśliwéj, załamywali ręce, i w cichości łzy ronili... Choroba Handzi długo się przeciągnęła; wpadła ona w stan ciągłego gaśnienia; krasa jéj opadała, jak listki z drzewa w jesieni.

Lecz gdzież się Maurycy obraca; co robi na wielkim świecie? Już on od dawna w Warszawie nasyca się powabami stolicy. To na balach bywa, gdzie tańcuje wiele, bo namiętnie lubił taniec; to prawi damom pochlebne słówka; to lata od jednéj do drugiéj, bo jednę nad drugą piękniéjszą znachodzi. Tu go nęci zgrabna baletniczka, tam grą swoją aktorka w trajedyi; to w Saskim-ogrodzie przepada za smukłą kibicią jakiéj piękności przybyłéj z prowincyi. Słowem Maurycy dzieli swój czas między miłość i poezyję; a nadto wszystko ugania się za sławą, do któréj miłość i poezyja mają mu służyć za stopnie. Pytam teraz, mógłże Maurycy w takim wirze chęci, zamiarów, młodzieńczych uniesień, choć raz wspomnieć sobie — o prostéj wieśniaczce z Podola? Prawda, myślał on o niéj, ale raz tylko, i to kiedy deklamował dumę o Niczaju, któréj się od Handzi nauczył.

Tymczasem na wsi, w dalekiém Podolu, dzień był pochmurny, dészcz czasami przepadał — Handzia otoczona przyjaciołami, rodzicami, mówiła głosem zemdlonym o wiosnie nadchodzącéj, o kwiatkach, o przybyciu jasno-włosego panicza. Nieszczęśliwa! dla niéj świat ma jeszcze tyle powabów, bo piérwsze uczucie, które się rozwinęło w jéj duszy, była miłość; onato ozłacała jéj tę ziemię, która dla drugich jest tylko padołem nędzy i płacza. Ale głos jéj co chwila stawał się cichszym, stłumionym, oddychała coraz z większą trudnością, oczy obłędnie toczyła. Nad wieczorem promyk zachodniego słońca przekradł się przez szybę, i padł na łoże cierpiącéj dla tego tylko, aby ze sobą uniósł tę niewinną duszę do lepszéj krainy. Handzia rażona tym blaskiem chciała coś jeszcze przemówić, wyciągnęła rękę ku rodzicom, ale usta się ścięły, ręka opadła — i dusza uleciała z gasnącym promieniem.

Wkrótce rozległy się głośne płacze i zawodzenia w wieśniaczéj zagrodzie. Wkrótce odbył się skromny pogrzeb; trunna biała, na niéj ruciany wieniec, kilka świéc, łzy szczére i jęki żałośne, cicha modlitwa plebana — owoż wszystko, czém uczczono pamiątkę dziéwczyny, umiérającéj z miłości w kwiecie wieku..

* * *

W lat kilka poźniéj, w r. 1829, wracał Maurycy z za Dunaju z wojny tureckiéj. Tam wystawiony na rozliczne śmierci rodzaje; na krzywe szable tureckie, i na straszniéjszą od nich *dżumę*; wszystko przebył szczęśliwie, z honorem, ze sławą! Po drodze nawiédził krewnych swoich we wsi, gdzie poznał niegdyś Handzię. Dowiedział się o jéj śmierci — o przyczynie jéj śmierci — i o rodzicach, którzy nie długo za nią poszli.

Maurycy, w głębokim pogrążony żalu, udał się na cmentarz; wskazano mu grób ojca i matki, we środku był grób Handzi; nad każdą mogiłą wznosił się prosty, biały krzyż drewniany, bez żadnego napisu. Maurycy nie mógł od łez się wstrzymać; ukląkł i modlił się. Na szczycie najwyższego krzyża odzywał się przeraźliwie puszczyk; pod niebem słychać było odlatujące żurawie. Po skończonéj modlitwie powstał młodzieniec, rzucił na około posępném okiem; jakże smutno i głucho! Byłoto w jesieni! Opuścił cmentarz z jakiemiś trapiącémi myślami, może przeczuwał, że i on smutnie zakończy.

Jakoż w kilka lat potém..... umarł w nędzy, w tęsknocie, w cierpieniach — w wieku nader młodym, z nadziejami, i nie znalazł drugiego serca, któreby go równie kochało.

Ignacy S.

LITERATURA SŁAWIAŃSKA.

Powszechne było życzenie znawców i miłośników historyi, aby ktoś z czystych źródeł wywiódł i wypracował pierwotne dzieje Sławian. Właśnie wychodzi podobne dzieło na widok publiczny w języku czeskim,

pod tytułem: *Slowanské starozitnosti* (Starożytności sławiańskie), a jego autorem jest chlubnie znany uczonemu światu pan Szafarzyk. W témto dziele objął znakomity ów mąż, cokolwiek z dziejów i wszelkiego rodzaju pismiennych pomników wiadomém było o Sławianach, począwszy od ich istnienia, aż do czasu upowszechnienia się u nich religii chrześcijańskiéj. Składa się to dzieło z dwóch części, z których piérwszą właśnie drukować rozpoczęto; druga poźniej wyjdzie. W piérwszéj objął pan Szafarzyk historyję i jeografiję piérwotną sławiańskich ludów; w drugiéj części obejmie wewnętrzne ich dzieje, doprowadzając rzecz do tego kresu, odkąd się zaczyna historyja prawodawstw sławiańskich, a mianowicie wyłuszczając we wszystkich, jakie się wyśledzić dały szczegółach, piérwotne urządzenia Sławian, ich religiję, tudzież historysy oświaty. Krótko mówiąc, rozbierze w tém dziele pan Szafarzyk wszystko, co, jako piérwotnych sięgające czasów i wydatnych na sobie rysów politycznego stanu nie noszące, w historyi prawodawstw sławiańskich objętém być nie mogło. — Rzecz całą podzielił autor na dwa okresy, z których piérwszy poczyna się od czasów najdawniéjszych, a kończy się na upadku państwa Hunów i cesarstwa rzymskiego zachodniego; czyli sięga tego okresu czasów rzeczpospolitych greckich, a idzie aż do drugiéj połowy piątego wieku po Chrystusie. Drugi okres kończy się z upływem 10go wieku po Chrystusie, a ma za charakterystykę czas, w którym się religija chrześcijańska już zupełnie upowszechniła u Sławian. Piérwszy okres głównie zwraca uwagę na dzieje Sławian ogólne, tudzież na historyję narodów, będących z nimi w styczności; okres drugi rozbiéra szczegółowo dzieje pojedyńczych sławiańskich narodów, tworzących już porządne i od siebie różne państwa, a mianowicie: Czechów, Morawianów, Polaków, Horwatów, Serbów, Bulgarów, Rusinów i wielu innych. — Usilnie starał się autor jasnym, zrozumiałym i prawdziwie popularnym wykładem uczynić dzieło swoje dostępném dla każdego, ktokolwiek jest w stanie czytać dzieło czeskim (do polskiego języka najbardziéj zbliżonym sławiańskim) dyjalektem napisane. Tym końcem wszelkie dowody z obcych przytaczane języków oddał pan Szafarzyk po czesku, mieszcząc je już to w przypisach, już w dodatkach do dzieła. W tychto dodatkach objął także wszystkie piérwotne pomniki, do zrozumienia sławiańskich dziejów niezbędnie potrzebne; a w końcu umieścił dwie mappy z wywodem historycznym. — Oddział historyczno-jeograficzny zupełnie już wygotowany do druku i około 50 arkuszy wynosić mający, wyjdzie 10-arkuszowémi zeszytami po cenie prenumeracyjnéj 50 kr. m. k. za jeden zeszyt, a zwłaszcza ćwierćrocznie, a jeżeli będzie można jeszcze prędzéj. Nie zwykle duży format, wyraźny druk i dobry papiér przekonają każdego o słuszności téj ceny. Przy przedpłacie składa się za ostatni zeszyt 50 kr. m. k. naprzód, za resztę zeszytów zaś płacić się będzie każdą razą po ich wyjściu. Termin prenumeraty trwa do 1. czerwca r. b., poczém nastąpi cena sklepowa o 1/4 część podwyższona. Piérwszy zeszyt wyjdzie z końcem lipca r. b. Księgarnie kraju naszego przyjmują przedpłatę na to dla literatury sławiańskiéj tak nader ważne dzieło.

Z Poznania. Hrabia Edward Raczyński, który w każdym niemal roku literaturę polską wydawaniem pomników dawniéjszej literatury i dziejów naszych zbogaca, i do tylu już położonych dla współziomków zasług coraz nowe przydawa, wydał znowu w tych dniach: Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, żyjącego pod trzema królami polskiemi: Janem Kazimiérzem, Michałem Korybutem i Janem III. Śmiało twierdzić możemy, że historyczna literatura nasza nic podobnego dotąd nie posiadała; Pasek bowiem w pamiętnikach swoich więcéj jest niż prostym kronikarzem. Nie opowiada, jak drudzy, zdarzeń i czynów ze słyszenia, ale przyprowadza tylko to, naco własnémi oczyma patrzał, lub czego sam był uczestnikiem. Dla tego, pisząc raczéj własną bijografiję, niż dzieje krajowe, wziéra głębiéj w życie domowe i publiczne naszych ojców i maluje w żywych kolorach rysy ich cnót i wad publicznych i domowych, ktorychbyśmy nadaremnie w najlepszych historykach naszych z téj epoki, jakoto w Kochowskim, Rudawskim, Twardowskim i innych, szukali. Do tych zalet pamiętników Paska przydać jeszcze należy inne, nie mniéj zajmujące czytających, jakoto: humorystyczność w opowiadaniu, która i najzimniéjszéj krwi czytelnika do śmiéchu pobudza; prawdziwie polskie zwroty i sposoby mówienia, których w najlepszych nawet dzisiejszych prozaikach naszych nie dostrzegamy i t. d. Na próbę stylu i ujmującéj rubaszności Paska kładziemy tu dwa małe wyciągi z pamiętników jego:

W czasie gdy Czarnecki z wojskiem polskiém w Danii się znajdował, wysłał Paska do Jutlandyi, aby w prowincyi téj podatki na rzecz wojska polskiego wybiérał. Pasek opisuje w ten sposób swoję missyję: »Przyjechawszy tam uczyniłem jakobym nie umiał po łacinie; pokazałem asygnacyję komisarską. Pytają mię: »*Kann er deutsch*?« Odpowiém: »*Nix*.« Ledwo nie poszaleli pludracy od frasunku, że się ze mną rozmówić nie mogli. Cokolwiek do mnie mówią, to ja tylko odpowiadam: »*Geld*.« Przyprowadzili jednego co umiał po włosku; ten mię pyta: »*Italiano parla?*« Ja: »*Nix*.« Pytają: »Co sobie każesz dać jeść?« To ja po staremu: »*Geld*.« Pytają: »Co będziesz pił?« »*Geld*.« Nareszcie proszą, żeby na nich nie nagle następować o pieniądze, ja mówiłem: »*Geld*.« Gdy zaś najczęściéj po łacinie do mnie mówili, żeto Polakom język zwyczajny, przyprowadzili mi zatém szlachcica, który tam blizko mieszkał i różnie peregrynował, aby się mógł jakokolwiek ze mną porozumiéć; mówi tedy do mnie: »*Ego saluto Dominationem Vestram*.« Ja odpowiadam: »*Geld*.« Mówi: »*Parla lingua francesca?*« »*Geld*.« Mówi: »*Parla italiano?*« »*Geld*.« Rzekł więc do nich: »Żadnego języka nie rozumié;« a posiedziawszy trochę, pojechał. Oni w srogiém myśleniu, a było tego przez cały dzień, już mieli do brandenburskiego wojska posłać, dla najęcia kogo do rozmowy ze mną, i już się jeden gotował jechać. Tymczasem nazajutrz zrana przynieśli mi w podarunku łososia żywego wielkiego w wannie, wołu karmnego i jelenia także żywego, chowanego, na powrozie przyprowadzili, a przytém w kubku sto bitych talarów (ponieważ widzieli, że żadnym językiem nie mogli mię zażyć), mówiąc językiem krajowym: »Przynieśliśmy podarunek.« Dopiérom ja do nich przemówił, skazując na ów kubek z talarami: »Oto jest,« rzekłem po łacinie, »moich życzeń tłumacz.« Kiedyto pludracy skoczą od radości, kiedy się poczną rzechotać; kiedyto skoczą na miasto, powiadając, że przemówił nasz pan; nuż gonić owego, co już był wyjechał po tłumacza; dopieroż się rozmawiać, dopieroż dyszkurować; popili się pludracy na ów śmiéch,« i t d.

W innem miejscu opowiada Pasek tak o wojsku Montekukulego, które razem z wojskiem polskiém wyprawę duńską odbyło: »I to dziwna, że w kraju tak obfitym, gdzie u nas wszystkiego było pełno, a oni (wojsko Montekukulego) tydzień na miejscu postali, to zaraz do nas po kweście żony swe przysłali. Przyszła kobiétka nadobna, młoda, a chuda, jakoby z najcięższego oblężenia; zbliżywszy się do szałasu taką prawiła oracyję: »Mospan Polak! daj troszki kleb, będziem tobie koszul uszyć.« Spojrzawszy na ową nędzną, to się musiało dadź jałmużnę; komu też potrzeba było koszule uszyć, to szyła i tydzień i dwie niedzieli; jakoż nie trudno było o płutno, a uszyć nie miał kto, bośmy w wojsku mieli tylko jednę

kobiétę trębaczkę; z téj racyi była tedy z nich wygoda. Jak się zaś mężowie nie mogli ich doczekać, to przyszli je szukać od szałasu do szałasu; skoro znalezli, to je wzięli z sobą, podziękowawszy, że je przeżywiono; jeżeli też jeszcze która była potrzebna, że koszul nie doszyła, to jeno było dać mężowi sucharów, to poszedł, zostawiwszy żonę na dalszy czas, a sam do niéj nadchodził czasami. Z tych kokiét nie jedna tak się poprawiła przez dwie niedziele, że ich mężowie nie poznawali.« (G. P.)

* * *

Nowe płody poezyi franzuzkiéj. Edgard Quinet wydał nowy liryczno-bohaterski poemat pod napisem: *Napoleon*. Sądem znawców utwor ten nic zawiera nic więcej, jak tylko opis obrazu Napoleona w pięknych wierszach, niekiedy w tonie śpiéwnym, niekiedy w opowiadającym, pełno tam miejsc zachwycających, pełno dobrych i wielkich myśli, a jednak jestto tylko samo opisywanie, które wrażenia sprawić nie może, częste deklamacyje i tak jednotonny żadnego nie budzą interesu. Teraz to powszechne ubieganie się, aby filozoficznym zagadnieniom nadawać ciało i poetyczny charakter, zrządziło największe nieszczęście poezyi i zabiło jéj ducha. W nowych romansach same tylko występują na scenę ideje, nieszczęśliwe ideje we frakach i surdutach — ludzi tam nie ujrzysz, i z tegoto pochodzi, iż nasi młodzi pisarze, zachwyceni własnémi ideami, tak wiele o swoich ideałach trzymają.—Lamartine wydał oczekiwany swój poemat: *Jocelyn*, w którym maluje wiejskiego plebana; mato być utwor, jakiego dotąd Francyja nie miała.

Dnia 29. lutego długo oczekiwana, jak cud jaki okrzyczana opera Mayerbeera: *Hugonoci*, raz pierwszy przedstawioną została. Cały Paryż w dniu tym był w zawieszeniu, oczekując na to widowisko. Afisze przybite na głównych rogach ulic i placach miały szerokości 4, a długości 2 łokcie. Scisk był jakiego od dawna nie pamiętają na widowisko. Król z rodziną i wszystkie najznakomitsze znajdowały się osoby. Z każdym aktem wzrastał zapał w widzach, w końcu zmienił się w burzę oklasków. Wywołano Majerbeera, lecz nie wyszedł. Tekst do téj sztuki napisał Scribe. Tańce panny Taglioni dodawały uroku; słowem, wszystko tam czarowało przesycone zbytkiem zabaw i widowisk zmysły Paryżanów.

Pan Dupaty, jak wiadomo, został członkiem akademii francuzkiéj, a Wiktor Hugo, który był jego spółzawodnikiem, tą razą nie otrzymał miejsca. Nazajutrz po swojém mianowaniu posłał pan Dupoty bilecik do pana Hugo z następującémi wierszami:

Avant vous je monte à l'autel,
Mon âge avait droit d'y prétendre;
Déja vous êtes immortel,
Et vous avez le temps d'attendre.

Toż po polsku:

W spólnym zawodzie ubieżałem pole,
Mój wiek mi prawo nadał do nagrody;
Już nieśmiertelność na twém błyszczy czole,
Czekaj kolei, tyś jeszcze tak młody.

Dzienniki zgadzają się, że to myśl bardzo piękna; z tém wszystkiém akademija ta nie może być inaczej uważaną, jak tylko za przytułek inwalidów literackich.

Gdy Bonaparte układał swoję księgę praw, rada stanu zdumiała się nadzwyczajną szybkością, z jaką ją objaśnił przytoczaniem na pamięć całych ustępów prawa rzymskiego, czego się po nim wcale nie spodziewano, ile, że całe życie swoje spędził śród szczęku broni. Jeden z radzców stanu zapytał go, jakimby się sposobem obeznał z powyższym przedmiotem, naco ten odpowiedział: »Będąc jeszcze porucznikiem dostałem się niesprawiedliwie do więzienia, gdzie oprócz stołka starego i framugi w ścianie, w któréj się znajdowała duża księga, to jest: Pandekta, żadnych nie było sprzętów. A nie mając przy sobie ani papiéru, ani atramentu, ani ołówka, byłem bardzo ucieszony z odkrycia téj nieoszacowanéj księgi. Była ona tak gruba, a na maryginesie tak zapełniona uwagami, żebym był miał co czytać nie próżnując i sto lat w więzieniu. Pozbawiony wolności przez dni 10, korzystałem z czasu tego, czytając decyzyje prawników rzymskich. Takim sposobem nauczyłem się rzymskiego prawa.«

W Malmaison znajdował się dawniéjszym czasem bardzo piękny przez Izabeja malowany portret Napoleona, który był własnością cesarzowej Józefiny. Przed kilką laty sprzedano takowy pewnemu Amerykaninowi, nazwiskiem Sanderson, a ten ofiarował go w podarunku jenerałowi Jakson. Gmach publiczny, gdzie ten obraz się znajdował, w czasie pożaru w Nowym-Jorku został zupełnie obrócony w perzynę, cudem tylko wyżwymieniony portret bez szkody ocalał.

P. Clerisse, Francuz rodowity, aktor z teatru Drurylane w Londynie, miał nie dawnémi czasy rolę, która wymagała, aby go drugi aktor, grający króla Fryderyka, nogą kopnął. Podczas próby, gdzie takowa czynność tylko oznaczoną była, szło wszystko pomyślnie, ale podczas przedstawienia, gdy oznaczenie w rzeczywistość przejść musiało, ocknęła się w panu Clerisse duma narodowa, tak dalece, że gdy kopniętym został, obrócił się spieszno, i tak potężny policzek wyciął grającemu króla, że tenże dłużéj na nogach ustać nie mógł, a sztuka przerwaną być musiała. Wnoszą, iż za tak dosadną improwizacyję pan Clerisse z teatru Drurylane odprawionym zostanie.

W Paryżu stanęła nie dawno przed sądem pewna żona, i domagała się rozwodu dla tego jedynie, że jéj mąż — niemiłosiernie chrapié. Sędziowie nie mogąc znaleźć w ustawach przepisu do rozwodu z tego względu, a nie chcąc zostawić żonę bez pociechy, rozkazali mężowi, aby się nie ważył odtąd chrapać inaczéj, jak tylko bardzo miłosiernie, to jest: jak najciszéj.

Jak wielki docbód czynią dzienniki w Paryżu z tego wnieść można, że pan Bonié kupił prawo wydawania dziennika *Messager des chambres* i dziennika *du Commerce* za cenę 150,000 frank, a na drugi dzień odstąpił ten ostatni *Journal* panu Mauguin za 70,000 fr.

Pan Lindsay w Londynie zrobił odkrycie, przez które płyn elektryczny do oświécania ulic użytym być może. Wielu już blizkiémi byli téj myśli; jednakowoż nikt nie wpadł na sposób zamienienia iskier w ciągły ogień, tylko pan Lindsay. Płomień wydobyty przez niego jest silny, jasny, bez dymu, wszędzie może być użytym, a mianowicie w lampach bezpieczeństw do kopalni.

Sir John Ross sławny podróżnik powiada, iż zabójstwo między Eskimczykami bardzo rzadko się wydarza; lecz w razie, gdy się coś podobnego przytrafi, winowajca skazany jest na wieczną samotność, czyli od każdego członka pokolenia tak dalece bywa unikany, że ci, którzy się z nim spotkają, odwracają się, by nie spojrzeć na niego. Na pytanie, dla czego zabójca nie jest zaraz ukarany śmiercią, odpowiadają Eskimczykowie, iż przezto równąby na siebie ściągnęli winę, jak sam zabójca. Widać jak głos natury i jéj prawa, prowadzą do najpiękniéjszych ustaw.

Taniec Spartanów. Spartanie wtórowali tańcom swoim spiewem hymnów. Każdemu wiadomo (mówi Walter w swojém dziele *Lady's Exercisas)*, że nazwisko tańcu *trichoria* od tego pochodzi, iż się z trzech chorów składał, to jest: z chóru dzieci, z młodych kobiét, i z chóru starych matron. Matrony otwiérały taniec, spiewając: »Za dawnych czasów mężowie nasi byli waleczni!« Poczém odpowiadały młode niewiasty: »Nasi męże są teraz waleczni!« — »A my jeszcze waleczniejsi będziemy,« odzywał się chór dzieci,« kiedy nasza pora nadejdzie!«

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.